

# „Panna Wodna” i „No, no Nanette” Dwie premiery w Teatrze Muzycznym

**T**EATROWI Muzycznemu winniśmy recenzję z dwóch przedstawień. Okres urlopów najpierw w redakcji, następnie zespołu gdyńskiej operetki spowodował, że z obowiązku omówienia „Panny wodnej” i „No, no Nanette” teraz dopiero się wywiązujemy. Opóźniliśmy wydrukowanie tej naszej oceny tym chętniej, że sporo mamy zastrzeżeń i do obu operetek, i do sposobu ich pokazania.

Nie chcieliśmy pierwsi od niedawna prowadzonego przez nowe kierownictwo: dyr. Włodzimierza Głoblińskiego i Danutę Dostalik - Bałuszkową. I teraz robimy to niechętnie, zwłaszcza że nowy cios go spotkał — zamknięcie, dla poprawienia bezpieczeństwa budynku przy ul. Bema w Gdyni, który jest jego stałą siedzibą. Skoro jednak nawet koledzy warszawscy, omawiając te właśnie przedstawienia, wysuwane zarzuty zresztą owiljali w bawelną komplementów, z przykrością przyjdzie mi — nie przez przekorę, ale z poczucia obowiązku — nazwać rzeczy po imieniu.

**N**AJPIERW o „Pannie wodnej” De mortuis nihil nisi bene... A Jerzy Lawina - Świętochowski nie żyje. Muzyka aresztą to nie najslabsza strona tej operetki. Gorzej z librettem Jastrzębca i Słotwińskiego. Napisano je przed wojną, chyba na zamówienie ówczesnej Ligi Morskiej i Kolonialnej. Wprowadzili bohaterami są w niej marynarze, a nie hrabiowie i księżniczki, jak zwykle w operetkach, ale oficerowie z s/s „Panna wodna” (Z. Walocho i J. Nowicki), mimo wszystko bardzo przypominają operetkowych poruczników huzarów i ułańskich rotmistrzów, a już kapitan statku to tylko niezbyt zręczna parafraza jakiegoś zramolowanego c. i k. generała (L. Kłonica). I reszta marynarskiej braci (Muszyński, Rożek, Korzeniowski, Ellwart) niewiele się różni od postaci ordynansów i kamerdynerów rodem z Paryża czy Wiednia. Na statku płyną w tej operetce do kraju pasażerowie z jakichś egzotycznych wysp. Są nimi Polacy, skrojeni jednak a bardzo kolonialną miarą właściciela plantacji (K. Kąkolowicz), jego żona (Jung - Gawrzyński), córka (L. Mar - wicz) i jej narzeczony (Z. Walocho) nadają ton tej części towarzystwa. Komicznie imi kontrastuje — jednak oryginalnie pomysłała postać — pani Bobulińska organizatorka wycieczki (N. Mieszkowska). Ale więcej ruchu robi na statku aktoreczka rewiowa, chętnie, zagrana z wielką doświadczeniem i dużym temperamentem przez St. Kowalczyk. Bo do reszty wymięchanych wyżej można mieć pretensję, zwłaszcza

za zbyt szablonowe potraktowanie postaci. Strona aktorska przedstawień naszej operetki zawsze zresztą szwankowała, w odróżnieniu od poziomu wokalnemu muzycznego, któremu znów niewiele można zarzucić — (kierownictwo muzyczne — M. Nowakowski).

Reżyserowała przedstawienie Danuta Dostalik - Bałuszkowa. Scenografię opracował Bolesław Kamiński. Choreografia w układzie Józefa Matuszewskiego.

**NO, NO NANETTE** jest kompozycją amerykańską — jak stwierdza artykuł, zamieszczony w wydany przez Teatr Muzyczny programie „NO, NO NANETTE” — nie tylko z narodowości, ale i z ducha swej muzyki. Z tym się można zgodzić. Natomiast porównania klimatu tej operetki z atmosferą amerykańskich „musical” — doprawdy trudno się dopatrzeć. A już nawiązywanie do... renesansu jazzowego, do sławy Amstronga i Al Jolsona, do twórczości Gershwin i Berlina — uważam wręcz za przesadę. Moim zdaniem, z całej tej operetki jedynie piosenka „Herbatka we dwoje” ma jakąś wartość muzyczną i ona też zapewne sprawiła, że „No, no Nanette” przetrwała 37 lat scenicznego żywota.

Jak w „Pannie Wodnej” marynarze, tak tu znów amerykańscy businessmeni zastąpili wiedeńsko - paryskich arystokratów. Tyle że obok banału perypetiów buduarowo - miłosnych autor libretta znalazł jeszcze miejsce dla akcentów satyrycznych, wyposażając w nie zwłaszcza ojca Nanette (Jerzy Górny), wydawcę biblii, który zachowuje się wcale nie jak biblijny patriarcha. Sama Nanette (Stanisława Kowalczyk) też niewiele przypomina dziewczynę z biblii. Ale mimo to ze sceny wieje nudą. Lamańce sytuacyjne wcale nie są najwyższego pochodzenia, z góry wiemy, jakie sceny będą następować po sobie. Niewiele wobec tego mógł tu zrobić inscenizator i reżyser (Kazimierz Petecki), a i scenograf (Janusz Kossakowski) niezbyt się wysilił. Najciekawsze chyba były rzeźby Dorothei Gołłubskiej, ustawione w ogrodzie przed willą pp. Smith. Bo o wykonawcach — choć grał tu inny zespół artystyczny, niż w „Pannie Wodnej” (Dozuchowska, Jawis, Krasiejko, Grabowska, Cichońska, Nowicki i inni) — muszę powiedzieć dokładnie to samo, co w pierwszej części tej odeny.

Choreografia i tym razem J. Matuszewskiego. Kierownictwo muzyczne również spoczywało w rękach Mieczysława Nowakowskiego.

Marek Dulęba